

WARSZTATY DZIENNIKARSKIE

„Cudze chwalicie....”

Juz niedlugo leski zamek ma szanse stac sie jedna z największych, stworzonych ludzka reka turystycznych atrakcji regionu, bo któz z nas oprze sie dreszczykowi emocji towarzyszącemu zwiedzaniu tajemniczych korytarzy?

Niewielu turystów przejeżdżających przez Lesko dostrzega wzniesiony nad rzeka San Zamek Kmitów. Również nieliczni okoliczni mieszkańcy znają historie tego miejsca. Warto więc przytoczyć pare istotnych faktów z owej historii, gdyż juz niedlugo zamek ten może stac się jedna z największych turystycznych atrakcji regionu.

Troche historii.

Początki istnienia zamku sięgają XV wieku. Wzniesiony został na starym grodzisku przez Piotra Kmity. Według legendy jego murów strzeże „Czarna Dama” - wdowa po jednym z budowniczych. Do dziś z pierwotnego kształtu zachowały się zewnętrzne mury zachodniego budynku z basztą obronna. Za rada królowej Bony Piotr Kmity otoczył zamek parkiem na styl włoski. Gdy miasto zmieniali właściciele, wraz z nimi zmieniali się mieszkańcy zamku. W 1774 roku został zniszczony przez Szwedów. Odbudowany uległ pożarowi, po którym niezamieszkały zamienił się w ruine.

W 1839 roku do miasta przyjechał Wincenty Pol. To właśnie według jego planów zamek został odrestaurowany, przyjmując ostatecznie cechy klasycystycznego dworku. Ówczesni właściciele-Krasiccy zgromadzili piękne zbiory monet, medali, galerie obrazów m.in. Bacciorallego oraz bibliotekę i archiwum z rękopisami wielu polskich poetów. Jeżeli wierzyć pogłoskom, to przed drugą wojną światową wiele z tych dzieł przewieziono podziemnymi korytarzami do Sanoka.

Właśnie te podziemia na nowo intrygują odkrywców. W piwnicach baszty odnaleziono pięć fragmentów wejść do dawnych lochów i korytarzy, które podobno prowadzi daleko poza mury zamku, w kierunku rynku, Kościola a także do nieistniejącego już klasztoru w Zagórze.

Kto z nas oparłby się dreszczykowi emocji podczas zwiedzania lochów. Czarna dama, nieznanne przejścia a wszystko to dodatkowo otoczone aura grozy i tajemniczości.

Gospodarze zamku chcą więc zachęcić konserwatora zabytków i władze samorządowe by wspólnie zbadać podziemia. Władze miasta myślą o ściąganiu do Leska studentów archeologii, którzy w ramach praktyk pomogliby spenetrować nieznanne. Mimo, że odkrycia stoją jeszcze pod znakiem zapytania, mnożą się pomysły dotyczące organizacji podziemnych korytarzy. „Gdy odkryjemy wejścia do tuneli, chcemy zdobyć pieniądze na ich renowację, po czym udostępnić je turystom. Myślimy także o zamontowaniu w kilku miejscach na stropach tuneli szyb, tak aby do wnętrza można było zaglądać wprost z ulicy” - opowiada burmistrz Jankiewicz.

Ewelina Worona

Święto Komisji Edukacji Narodowej

Czternastego października obchodzimy Święto Komisji Edukacji Narodowej, święto nauczycieli oraz wszystkich pracowników oświaty podkreślając tym samym rangę nauczyciela i wychowania w państwie.

Przypomnijmy, dlaczego właśnie z tą datą związane jest święto, popularnie nazywane Dniem Nauczyciela. Sejm Rzeczypospolitej pod wrażeniem świeżej tragedii pierwszego rozbioru, uchwalił 14 października 1775 r. ustawę, która głosiła, że powołuje się „Komisję do Edukacji Młodzi Narodowej Szlacheckiej pod protekcją króla”.

Zakres działalności komisji był ogromny. Powołana w zasadzie do zorganizowania opieki nad szkolnictwem szlacheckim, zajęła się Komisja również szkołami parafialnymi, obejmując w ten sposób całość oświaty w Polsce. Podjęła trudną pracę organizacyjną i administracyjną, równocześnie pedagogiczną. Liczne przepisy i zarządzenia modernizowały i unifikowały szkolnictwo. Tworzono stały nadzór pedagogiczny, pierwsze zreby racjonalnie zaplanowanej sieci szkolnej. Przygotowywano nowy program i nowe podręczniki, od 1775 r. dla prac tych powołano Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. W następnych latach opracowano zasady kształcenia nauczycieli, zreformowana Akademia Krakowska i Wileńska. Komisja działała skutecznie i w zasadzie przeprowadziła swój program reformy szkolnictwa, podczas gdy w innych dziedzinach życia publicznego dążenia reformatorskie, były nie tylko wewnętrznie sprzeczne, ale przebiegały z ogromnymi oporami.

Jest rzeczą godną uwagi, że ani prace nad reformą praw, ani dążenia do reformy sejmowej, konstytucyjnej, wojskowej czy też skarbowej nie skupiły w latach tych XVIII w. tak poważnej ekipy intelektualnej, jak ta, która miała przeprowadzić reformę oświatową. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Michał Poniatowski – brat króla, Ignacy Massalski – biskup wileński, Adam Czartoryski – gen. ziem podolskich, Hugo Kollataj, Grzegorz Piramowicz – sekretarz Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych. Bezpośrednio pracami Komisji interesował się – i często brał udział w jej obradach – król Stanisław August Poniatowski.

To wybitne grono jest świadectwem, iż zadania reform oświatowych traktowane były jako pierwszoplanowe zadania polityczne, że dla ich realizacji powołani zostali ludzie najwybitniejsi, którzy mimo różnic politycznych i animozji osobistych potrafili współpracować i zachować jedność działania.

A czasy były trudne...KEN powołana została po pierwszym rozbiórce, kraj z trudem dźwigał się z upadku, organizował na nowych podstawach gospodarczych, trwały i rosły ostre konflikty społeczne, administracja państwowa była zdeorganizowana i mało skuteczna. Panowała atmosfera prywatnej zdrady i przekupstwa.

Dlaczego, mimo wielu trudności, Komisja prowadziła systematycznie swoje nielatte i zmusne prace?

Źródła tej konsekwencji wiążą się z atmosferą polskiego oświecenia, z kultem wiedzy i rozumu, z tym, że zagadnienia oświaty i nauki stawały się dla opinii publicznej coraz bardziej interesujące i ważne. Rozpoczęła się wielka epoka „oświecenia” społeczeństwa przez szkoły, prasę, polityczne dyskusje. Następowała ogólnonarodowa mobilizacja sił do walki z ciemnotą, zacofaniem i kulturalnym wstępnictwem. Ale nie tylko z tym...źródła sięgają

głębiej, bowiem oświatowy entuzjazm nawiązywał przecież do tradycji wychowania i kształtowania średniowiecza i odrodzenia, do – tym samym, w dobie klęsk i nieszczęść narodowych – wspomnienia wielkości Polski. Praca oświatowa zyskiwała tu charakter wyjątkowy, przekształcając się w służbę patriotyczną i obywatelską. Ta instytucja, której działalność trwała w ramach niepodległego państwa 20 lat, miała prócz przeszłości swoją przyszłość. Dzieło Komisji przetrwało znacznie dłużej niż ona sama w szeregu instytucjach porzecznych dziejach narodu, w działalności ludzi. Była symbolem wielkich wychowawczych koncepcji mających służyć odrodzeniu narodu, wzmocnieniu państwa, była symbolem politycznego rozumu, przekazywała w dobie upadku państwa pokoleniom, że: winny strzec wartości narodowej kultury, Oświata stawała się jednym z czynników narodowej świadomości oraz integracji społecznej.

KEN nie była tylko historyczną instytucją oświatową zamkniętą w określonych granicach czasu i przestrzeni, stała się swoistą polską kategorią myślenia i działania społecznego przez oświatę.

Pod względem wielkości zamierzeń i skuteczności działań oświatowych KEN stawała na równi z sukcesem, jakim było uchwalenie Konstytucji 3-mego Maja. Powyższe stwierdzenia oraz fakt, że Komisja stanowiła właściwie pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, wyznaczają samoistnie dzień jej uchwalenia jako datę obchodów święta KEN.

(inf.wl.)

Kochany Pamiętniczku!

Dzisiaj jest 30 września 2007. Bola mnie nogi, piecze mnie skóra na twarzy, lekko powłócze lewa noga, chce mi się spać (ledwie żyje), a wszystkiemu winien jest XI WOJEWÓDZKI RAJD SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH ORGANIZOWANY PRZEZ SZKOLNE KOLA POLSKIEGO TOWARZYSTWA SCHRONISK MŁODZIEZOWYCH PRZY ZESPOLE SZKÓŁ BUDOWLANYCH I ZESPOLE SZKÓŁ EKONOMICZNYCH W BRZOWIE, na którym było..... po prostu...WSPANIALE! Ale zaczęło od początku.....

Któregoś pięknego dnia profesorka Dorota B. (nasza niestrudzona opiekunka SK PTSM „POLONINY”) rzuciła hasło: „Słuchajcie dzieci. Jest rajd. Można by na niego pojechać”. Nieswiadomi swojego powołania licealisci na wezwanie profesorki początkowo odpowiedzieli dość niemrawo, by następnie tuż przed wyjazdem „szturmować listę”. Profesorka zareagowała stosownie do swojej funkcji. Poprosiła o posiłki opiekunczo-wychowawcze. Tychże udzieliła jej profesorka Ewa W. Lista, dzięki energicznym zabiegom obu profeserek, została zamknięta dnia 27 września. A już nazajutrz rano wszyscy szczęśliwcy, którzy nie odpadli z listy, w liczbie 18 (16+2), pomknęli z prędkością 50 km/h w terenie zabudowanym oraz 65 w niezabudowanym, w kierunku znanym tylko profesorom oraz niektórym weteranom WRSPOSK-PTSM przy ZSB i ZSE w Brzowie (w tym Kubie Czawie). Około dziesiątego km trasy naszego rajdu dołączyła do wesolej, aczkolwiek nieco ospalej ferajny, wirtuoz gitary akustycznej, koleżanka M.W., czyli ja. Trzeba przyznać, że nie spotkało się to z pełnym zrozumieniem grupy, gdyż: a) należało zrobić miejsce instrumentowi szarpanemu, który jednak należało traktować z należytym szacunkiem, albowiem mieścił się w dobrze znanym i charakterystycznym pokrowcu dobrze znanej i charyzmatycznej profesorki Kasi W.; b) plecakowi w energetycznym kolorze; oraz c) jeszcze powszechnie nieznaną ARTYSTCE, chociaż już właściwie docenionej przez prof.D.B. Pogoda współgrała z nastrojami uczestników jeszcze oficjalnie nie rozpoczętego XI WRSPO (...) w Brzowie – było mgliście i chłodno. Jadąc w nieznaną każdą w ciszy kontemplował marzenia o wielkiej przygodzie. Po nieco ciagnęcej się podróży, dotarliśmy na miejsce. Czas na klimatyzację nie był zbyt długi, ponieważ zaraz po wyjściu z busa kazano nam rzucić bagaże na korytarz do Szkolnego Schroniska Młodzieżowego, przepakować się i po chwili, znowu usadowieni w mini autobusie, podaliśmy w kierunku Kalnicy. Tam znajdowała się już część uczestników XI WRSPO (...) w Brzowie, a pozostała część była jeszcze w drodze. Wobec tego musieliśmy chwilę postać na kalnickim rozdrożu, a w tym czasie profesorka Dorota umiejętnie pozbyła się swojego dużego plecaka wręczając go Bogu ducha winnemu Boczkowi. Boczek nie oponował. Kiedy już profesorka poczuła się uwolniona od ciężącego na jej plecach bagażu i gdy została zapewniona, że jedna z naszych dziewczyn, Anna W. posiada apteczkę lekarską, w spokoju mogła iść dyskutować o dalszych planach uczestników XI WRSPO (...) w Brzowie. Po krótkiej chwili udaliśmy się na Jaworze, gdzie wśród rozkosznych widoków polonin upojeni świeżym powietrzem, czekaliśmy...

czekaliśmy...

...i czekaliśmy na ostatnią grupę.

Wbrew pozorom nie bezowocnie.

Wszyscy doskonale wykorzystali ten moment na uwiecznienie owej niepowtarzalnej chwili, pstrykając szereg pamiątkowych zdjęć (grupowych). Zadania, z właściwym sobie profesjonalizmem, podjęła się prof. Białogłowicz. W trakcie padła propozycja, aby profesorka zabrała wszystkie aparaty, które wisiały na jej przedramieniu i wystawiła na allegro. Dobry pomysł, ale nie został wdrożony – jak dotąd –

w życie. W końcu dotarła ostatnia grupa i rozpoczęło się oficjalne powitanie uczestników XI WRSPO (...) w Brzowie przez jednego z głównych organizatorów pana Mariana Soczka. Zajęło to chwile, ale co to jest w stosunku do wieczności... Kiedy wszystko było jasne i każdy wiedział, w którą stronę mamy iść, powoli zaczęliśmy się pisać w górę. Pierwszy cel uczestników, wiadomo już czego, była Krysowa, której wysokość to 840 m.n.p.m, następnie Przełęcz Orłowicza (1094) i wreszcie Smerek (1222). Początkowo przewaliliśmy się przez tereny trawiaste, przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz lasy. Tam też był pierwszy odpoczynek, podczas którego nasz niewatpliwie atrakcyjny pan przewodnik został skrupulatnie przepytany ze szczegółów swojego życiorysu. Kanapki zostały zjedzone, czekoladki, wafelki i reszta niezdrowej żywności pochłonięta, więc grupa ruszyła dalej. Czekala nas 2,5 godzinna wspinaczka na Przełęcz. Wyszliśmy z lasu i kroczyliśmy wąską ścieżką podziwiając tym samym cudowną, jesienną florę – prawdziwą uczta dla fotomaniaków. Ale na zdjęciach pojawiała się nie tylko piękna, polska jesień, bowiem tworzone również zdjęcia artystyczne, np. głan z profilu, głan en face czy – to już wyższa szkoła jazdy – para głanów z lotu ptaka. W końcu stało się i dotarliśmy na skrzyżowanie szlaków, nazywane też Przełęczą Orłowicza. Tam, wszyscy mogli się wygodnie rozłożyć na trawie, czy pozajmować okazałe kamienie i gromadzić siły na kolejną dawkę marszu. Po około półgodzinnej przerwie mogliśmy zaatakować najwyższy punkt naszej dzisiejszej wędrowki – wypoczęci skierowaliśmy nasze kroki ku Smerokowi. Na szczycie było cudownie! Natura cały czas z nami współpracowała, co można było zauważyć na każdym kroku. Choćby promienie słoneczne, które świecać zza chmur padały tylko na osiadające z sobą miejscowości i wyglądały przy tym jak groźne pazury nieokielzanego zwierzęcia. Aparaty znowu poszły w ruch dając swoim właścicielom prawdziwą szansę na udowodnienie ich talentu. Zejście w stronę szkoły na początku strome, potem się trochę zrównoważyło i mimo, że paluszki u nóg bolały (tych, co nie zawiązali porządnie butów), dalimy radę. Na dole, przekonani, że nikt nas nie wpuszcza do osrodka, bo było jeszcze za wcześnie, spędziliśmy CHWILĘ nic nie robiąc na równinnym terenie nieopodal szkoły. Jednak okazało się, że inna część grupy już dotarła na miejsce i ku zaskoczeniu wszystkich została wpuszczona. Więc, z trochę niezadowolonymi minami, udaliśmy się do schroniska. Tak czy inaczej szybko dalimy się ulaskawic, kiedy dostaliśmy własny kat i, co najważniejsze, materace do spania. Nasza sala było przedszkole pięknie ozdobione wycinanymi językami, grzybkami oraz ręcznie malowanymi obrazkami o tematyce społeczno-obyczajowej na papierze. Gdy się już zadowiliśmy i wróciliśmy ze sklepu oczywiście oraz zaznaczyliśmy na tablicy, że przybyło LO, przystąpiliśmy do bojowego zadania, czyli opracowania repertuaru (jak się na drugi dzień okazało dwóch utworów, co nam nieco skomplikowało sprawę) na konkurs piosenki turystycznej. Największą popularność zyskały „Hiszpańskie dziewczyny”, więc jednogłośnie zdecydowaliśmy, że te piosenki zaspiewamy. Nasza niepowtarzalna aranżacja przewidywała solo Kuby J. W tym samym czasie Sylwia i Agata pracowicie zdobywały punkty w konkursach wiedzy o PTSM oraz wiedzy ekologicznej, a na korytarzu trwała dyskoteka z muzyką a la podstawówka, na dworze szalała burza z piorunami, lecz my najlepiej bawiliśmy się w naszym przedszkolu. W szczególności zaś chłopcy, których nieograniczone pole wyobraźni może wzbudzić u niektórych zazdrość. Najpierw bili się karimatami, grali na wszelakich instrumentach tubylczych, udawali, że nie mają rak, ale i tak największym przebojem okazało się krecenie w kółko, w której to

konkurencji udział brały również dziewczyny. Mistrzem w tej dziedzinie okazał się Bartosz Kula, który w kulki sobie nie leciał i pobit wszystkich na głowe osiągając wynik62 OKRAZEN Z USTANIEM!!! Na drugim miejscu uplasował się Jakub Januszczak z wynikiem ok. 50 okrazen, a reszta wyników niech pozostanie tajemnicą, oczywiście nie wszyscy brali udział w tej specyficznej dyscyplinie. Około godziny 23 rozpoczął się seans...Młodzież zasiadła pod szafkami i z masą uczuć nie do opisanego, śledziła poczynania artysty, czyli jedynego w swoim rodzaju Jakuba Czawy! Mis, główny bohater, to prawdziwy poszukiwacz przygód z niezwykłą krzepą. Przeżył bowiem on stryżkę, odgryzienie części głowy przez niezidentyfikowane stworzenie latające, denaturat, ostrzelanie bronią lotną, „wpisanie w koło” (tylko dla wtajemniczonych), kolczaste przedziurawienie, wbicie na pal (x2), masakrę piłą oraz ataki przyjaznego wszystkim króliczka, w tym: atak kolczasta maczuga, rozmiadzenie głowy, podpalenie na stosie. Kolo godziny 1, część grupy LO już zasnęła, (czyli niezniszczalna Ania W., której nie zbudziły nawet konwulsyjne wybuchy śmiechu). Niestety spore problemy z zasnięciem miała inna dziewczyna, przez co Kula miał ...powiedzmy, że nieciekawą sytuację życiową. A reszta, czyli Robert, Bartek, Ania B., Martyna – ja, Martyna Sz., Agata, Radek, Kuba J., Kuba Cz., Paweł, Dawid, Konrad i Daniel (?) nie miała już co robić, więc przystąpiła do gry w karty. Grałismo w ku-ku. Było ciekawie... i wesoło. To tyle szczegółów. Aha, na bardzo późne „dobranoc” – pokaz teatru cieni.

Następnego dnia wstaliśmy około 6.30. W związku z wczorajszą niepogodą, trasa została zmieniona i mieliśmy przejść przez cała Polonine Wetlińska. No więc po śniadaniu we własnym zakresie, itd., ruszyliśmy busem w pozadane miejsce. Po drodze czas umilali nam chłopcy śpiewając przeróżne szlagiery. Kiedy już dotarliśmy, tradycyjnie czekaliśmy na pozostałe grupy i tradycyjnie wykonaliśmy pamiątkowe zdjęcia. Po ...chwili, wszyscy mogliśmy już przejść przez brame Harasymowicza, żeby znowu udać się na podbój polonin. Rozdano nam worki. Rozpoczął się konkurs międzyszkolny na największą ilość uzbieranych smieci. Po drodze na najwyższej położonej schronionce (słynna „Chatka Puchatka”), mieliśmy okazję zobaczyć jednego z największych zakapiorów bieszczadzkich, który beztrząsł smignął samochodem po kamienistym trakcie. Przy Chatce Puchatka dostaliśmy godzinę czasu wolnego. Każdy wcześniej, czy później wspiał się na najwyższy punkt Poloniny i oddał się silom natury, w związku z czym Kuba J. o mały włos nie przeminął z wiatrem. Bartek zaś w bardzo łatwy sposób zmierzył i zdobył (???), Kuba Cz. stał się nierozpoznawalny, a Michałowi było zimno. Niewiadomo kiedy godzina minęła, więc przystąpiliśmy do marszu przez Polonine W. Co tu dużo mówić, pogoda była wspaniała i mimo że porządnie wiało, można było dostrzec kolejne cuda natury wokół nas. A konkurs trwał...W końcu dobrneliśmy do znajomej Przełęczki po kilku kilometrach wędrowki i niestety zaczęło kropić. Całe szczęście w ulewie zamieniło się to dopiero kilkanaście metrów przed schroniskiem. Ale wcześniej musiał się odbyć finał konkursu na największą ilość uzbieranych smieci. Cóż, mimo że mieliśmy okazję wóć, nie zajęliśmy pierwszego miejsca a drugie, co nie do końca zadowalało Kube, który przez cały czas szalał z workiem po poloninie. Organizatorzy nakazali wziąć po patyku na ognisko i znów ruszyliśmy. Niestety z ogniska były nici z powodów niezależnych od nas, a nawet od organizatorów. Wcześniej zarezerwowano nam ciepły posiłek w pobliskiej restauracji. Zupka pomidorowa i odgrzewane pierogi trochę nas wzmocniły. Niestety musieliśmy pożegnać koleżankę Malgosię, która musiała nas opuścić z blizy nieokreślonych powodów osobistych. Podczas gdy chłopcy zajadali pierogi, niektóre dziewczyny wróciły już do przedszkola i miały szansę trochę ogarnąć naszą salę. Później wynikły przez to lekkie nieporozumienia, bo część ubrań była w nie tych tobołkach, co powinna, ale i tak wszyscy byli zadowoleni, że

wystrój uległ zmianie. Czas płynie, koledzy zdążyli już umyć podłogę w specyficznym przebraniu, a tu sie okazuje, że na konkurs trzeba mieć przygotowane dwie piosenki. Postanowiono, że druga będzie „My Cyganie”. Niestety próba przecwiczenia obu utworów okazała się średnio możliwa, gdyż gitara została rozstrojona – dwa razy, chęć do śpiewania zanikła, a soliste złapał poważny kaszel. Więc poszliśmy na tzw. żywiol. Improwizacja pierwszego wykonania powiodła się, a po „Dziewczynach”, dzięki Radkowi i Martynie – czy to ważne której?... dostaliśmy szansę zaśpiewać ten utwór ponownie! Inne szkoły też miały bardzo ciekawe repertuary i w rezultacie tylko jedna szkoła zaśpiewała typowo.

Skoro była to ostatnia noc, zgodnie z odwieczną tradycją, nie można było pójść od razu spać. Chwile po ciszy nocnej (kiedy skończyła się dyskoteka) wyruszyła delegacja z pastami. Mózgiem, jak sam się nazywa, był Radek R. Pozostali winni to Kuba Cz. i Bartek K. I wszystko było dobrze do momentu, kiedy chłopcy przesadzili i posmarowali pastą Pawła! Chłopak się bardzo obruszył i kiedy wpadł do naszego pokoju (część grupy spała na korytarzu), wziął do ręki pierwszą lepszą pastę i na oslep zaczął ją wypróżniać. Po zaswieceniu światła okazało się, że w pasce był prawie każdy spiwór, szafka, włos Bartka, twarz Radka i podłoga oraz kilka plecaków. Tak czy inaczej „Zemsta Boczka” dopełniła się, więc Paweł poszedł dalej spokojnie spać. Ale nie przedszkole. Dołączyli bowiem do nas inni uczestnicy XI WRSPO (...) w Brzozowie razem z czarna farba i ...sie działo. W pokoju obok nawet stanął strażnik. Brrr... Kiedy akcja owa się skończyła, zaczęła się nowa – markerowa. Mimo że Bartek ufał Radkowi, ten domalował spiacemu trzecie oko, rogi, pieprza, itd. Ani W. wyrosły wasy, ale do rana wsiaknęły z kremem. Nie udało się „upiekszyć” Kuby Cz., który, wbrew pozorom, nie spał, wtedy, kiedy wszyscy myśleli, że śpi. Potem odbyła się powtórka z rozrywki – teatrzyk cieni do potęgi. A następnie zaczęto napastować biednego, chorego Kube J., który, jak sam mawiał, mówi przez sen. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że klucze od czolgu leżały w lodówce, że ma ku-ku, tylko potrzebował wina od Roberta (w kartach), że 500 razy 500 to 250 milionów. W końcu koledzy dali mu spokój, bo był chory i...myśleli, że już nie śpi, ale następnego dnia zupełnie nic nie pamiętał.

I tak nadszedł 29 września, sobota, czyli ostatni dzień rajdu. Kiedy wszyscy spakowaliśmy się i posprzataliśmy, gdyby nie pewien „patriota” z innej szkoły nie musielibyśmy tego robić, poszliśmy na dwór, gdzie odbyło się wręczenie nagród. Tego wzniosłego momentu nie mógł się doczekać Kuba Cz., który po dokonaniu wstępnych oględzin, stwierdził, że jemu nagroda należy się w tej chwili, więc sam się obsłużył. Niestety, ku powszechnemu zdziwieniu, zauważyła go owa nierozpoznawalna profesorka i zostaliśmy publicznie upokorzeni! Ale było śmiesznie, więc wszyscy byli dalej zadowoleni, tym bardziej, że już otwarte przez naszego koleżkę ciasteczka zostały wręczone Lesku! Tak, zajęliśmy drugie miejsce w konkursie piosenki turystycznej i, jak już wcześniej wspomniałam, w konkursie zbierania smieci. Wszystko się dobrze skończyło, nie trzeba było interweniować, więc uczestnicy XI WRSPO (...) w Brzozowie się porozjeżdżali, tylko LO z Leska, tradycyjnie czekało – i tradycyjnie wykonało pamiątkowe i artystyczne zdjęcia, z ciasteczkami, na hustawce czy w spinaczach. Podziwialiśmy żółte liście na tle błękitnego nieba w Wetlinie, wymieniliśmy się ciekawymi spostrzeżeniami i uwagami na przeróżne tematy, wypytaliśmy siebie nawzajem o dane astrologiczne. Ale ten upojny czas przerwał przyjeżdżający bus, który nas musiał zabrać do domu. Ze łzami w oczach pożegnaliśmy Wetline! W busie pospiewaliśmy sobie pioseneczki na pewno nie rajdowe, ale na deser zaserwowaliśmy mistrzowskie wykonanie największego hitu tego rajdu, czyli Hiszpańskie dziewczyny!

Kochany Pamiętniczku, niedługo kolejny rajd.
Na pewno na niego pojedzie! To pa, do jutra.

XXXVI WOJEWÓDZKI KONKURS KRASOMÓWCZY MŁODZIEŻY PONADGIMNAZJALNEJ

Prezentujemy teksty recytowane przez Magdalene Uzdejczyk oraz Iwone Urban na XXXVI Wojewódzkim Konkursie Krasomówczym Młodzieży Ponadgimnazjalnej w Przeworsku.

Lotnicze pasje Romana Przepióry

Jest rok 1947, gdy do lokalu Ligi Lotniczej mającej swa siedzibe w pomieszczeniu sklepowym przy ul. Jagiellonskiej 5 w Rzeszowie po raz pierwszy zagląda 17-letni Romek. Chłopiec ten zainteresował sie lotnictwem juz jako kilkuletnie dziecko, sluchając opowiesci ojca, który w wojsku sluzyl w batalionie lotniczym. Początkowo byly to jedynie marzenia malca prowadzace do nikad, jako ze 1 wrzesnia 1939 roku brutalnie przerwała je wojna. Swoje plany i marzenia mógł urzeczywistnic dopiero wówczas, gdy najgorsze juz minelo.

Romek nie miał łatwego zycia, a i droga w realizacji dziecięcych marzeń i pasji była dość kreta. Urodził sie 28 kwietnia 1930 roku w Rzeszowie na wygnancu. Pochodził z rodziny robotniczej. Jego ojciec, Franciszek Przepióra, był krawcem a matka Józefa Tabas zajmowała sie domem i dziećmi. Niestety zmarła w roku 1940, a w szesc lat później odszedł również ojciec. Romanem i jego młodszym rodzeństwem, Adamem i Henrykiem, zajęli sie wujostwo Buszowie. Jednak z powodu trudnej sytuacji materialnej rodziny, chłopiec musiał zrezygnowac z nauki w gimnazjum i pójsc do pracy.

Obowiązki kupca nie przeszkodziły mu w realizacji dziecięcych marzeń. Należał do Czarnej Jedyńki, czyli Pierwszej Rzeszowskiej Lotniczej Drużyny Harcerskiej, gdzie wraz z jej harcmistrzem Wojciechem Brzechowskim organizował wiele kursów i teoretycznych spadochronowych i szybowcowych. Niestety na dalszej drodze stanęła mu ciocia Maria, która ani przez chwile nie chciała słyszeć o jego lotniczych zamierzeniach. – Dość tragedii

mamy w naszej rodzinie? – mówiła – Nie dość wcześniejszych nieszczęść...? Długo trwały przekonywania ciotki, jakie to szybowce są stateczne i jak bezpieczna jest ta dyscyplina. W pracy został życzliwiej przyjęty. Dyr. Fic powiedział: - No jedź nasz Romanie na te swoje szybowce i wracaj cały do sklepu. Zostaniesz chyba najlepszym pilotem wśród kupców. W ten sposób Romek dopiął swego i wraz z kolegami wyjechał do Szkoły Szybowcowej Departamentu Lotnictwa Cywilnego Leboroku, gdzie ukończył szkolenie szybowcowe. Los na wiele lat osadził go w realiach tak zwanego małego lotnictwa, a więc sportu i nazwijmy to lotnictwa dyspozycyjnego, fabrycznego i lotniczego szkolnictwa.

W ciągu kolejnych 25 lat swojego zycia przeszedł wstępne kursy wtajemniczenia lotniczego, nauczył sie latać na szybowcach i samolotach, ukończył wielomiesięczny kurs instruktorów samolotowych Centrum Wyszkołenia Lotniczego we Wrocławiu, został absolwentem kursu pilotów rezerwy w Oficerskiej szkole lotniczej w Deblinie, a także otarł sie o kurs pilotów komunikacyjnych Polskich Liniach Lotniczych Lot w Warszawie. Od 1953 roku był ściśle związany z Aeroklubem Rzeszowskim, początkowo jako sympatyk i pilot, później jako etatowy pracownik, instruktor i kierownik. Bedac kierownikiem Aeroklubu inicjował i organizował wiele imprez lotniczych i zawodów. Wyszkołił także wielu pilotów sportowych, w tym mistrzów Polski, Europy i Świata.

31 grudnia 1976 roku z jego inicjatywy został powołany Osrodek Szkolenia Personelu

Lotniczego, gdzie pełnił funkcje głównego specjalisty do spraw szkolenia, zastępcy dyrektora, a później kierownika Osrodka Kształcenia Lotniczego. Na zawsze pozostał wierny swoim korzeniom rezygnując z dobrze zapowiadającej sie kariery w PLL LOT i wracając na jakże zasłużone rzeszowskie lotnisko, aby móc nadal szkolic i przygotowywac pilotów do tego wspaniałego zawodu. Był prezes Aeroklubu, mgr Eugeniusz Bilyka, zapytał go wówczas: „Panie Romciu, co pan najlepszego zrobił? To była największa szansa w pańskim zyciu”. Mimo, iż Roman Przepióra w głębi serca przyznawał mu rację, po latach stwierdził: „Dzis, gdy patrzę w blekit i widzę te warkocze kondensacyjne wijące sie za waszymi maszynami nie czuję żalu z powodu niespełnionych osobistych marzeń”. W roku 1992 przeszedł na emeryturę. Bedac jednak bardzo aktywnym przez całe swoje zycie również na emeryturze nie tracił czasu.

Wszystkie wspomnienia związane z lotnictwem, Aeroklubem Rzeszowskim i lataniem spisał w swoich książkach. W 1995 roku został wydany „Wygnaniec” – pierwsza patriotyczna kronika rodzinnej miejscowości Romana Przepióry. Po pozytywnym przyjęciu pierwszej części wspomnień wydał kolejną „Drzazgi w skrzydłach” osadzona również w realiach lotnictwa. Nie ma w niej mowy jedynie o podniebnych wzlotach, gdyż nie tylko z takich epizodów składa sie zycie lotnika. Jak sam pisał „Gdybym snuł opowiesci jedynie o samym lataniu to skrzydła miałyby kształt tak cudowny jak cudownym jest lot, tak cudownym jest zawód lotnika. Siegając jednak do tych bardziej przyziemnych zmuszony zostałem

do okaleczenia tych nieskazitelnych kształtów drzazgami. Niestety takie jest życie i tak je postrzegalem” Roman Przepióra nie zapomniał również o swoich i uczniach i wychowankach Osrodka Kształcenia Lotniczego poświęcając im ostatnia obszerna pozycję” Latajcie kochani długo i szczęśliwie”

Ten niezwykle człowiek, pilot, laureat wielu resortowych nagród regionalnych i sportowych,

Roman Przepióra, odszedł od nas 3 sierpnia 2002 roku pozostawiając po sobie niesmiertelna pamięć i dorobek twórczy. Jego ciało spoczywa na cmentarzu na Pobitnem. Mimo iż dziś nie jest obecny wśród nas, na pewno cieszy się z tego, że kontynuujemy jego pasję. Był człowiekiem wielkiego serca i ducha, całe swoje życie poświęcił młodziecy, przekazując im informacje o swojej największej pasji-lataniu. Piszac te biografie miałam okazję korzystać z

książek, w których widnieją jego własnoręczne podpisy z dedykacją dla naszego prof. Henryka Wyszatyckiego, za propagowanie wśród młodzieży idei lotniczych. Korzystając z okazji chciałbym zachęcić wszystkich do przeczytania wspomnień Romana Przepióry, pełnych życia, podniebnych wlotów, jak i drastycznych scen z życia tego wspaniałego lotnika.

Magdalena Uzdejczyk

Marzenia

Marzenia, któż z nas ich nie ma. Jedne są większe, inne całkiem małe i proste. Jest jednak coś takiego, czego ludzie pragnęli od zawsze – wznieść się w bezkresne błękity i spojrzeć na świat z lotu ptaka. Dobrze znamy Ikarza i Dedala, którzy za pragnienie dorównywania skrzydlatym gatunkom zapłacili najwyższą cenę. Na przestrzeni dziejów, ludzie, niezręcznie niepowodzeniami zapalem budowali lotnie, parolotnie, szybowce i samoloty, odkrywając kolejne zasady aerodynamiki, mechaniki lotu, meteorologii, pilotażu i tak jest po dziś dzień. Coraz nowocześniejsze statki powietrzne szybują po polskim niebie już od ponad stu lat. Ikarowa legenda przeplata się w pamięci szczególnie, gdy znajdziemy się u podnóża „świętej góry szybowników w Bezmiechowej”. Jest to niewielka, malownicza wioska położona w pld. -wsch. części woj. Podkarpackiego Podkarpackiego progno Bieszczad.

Niebo nad Bezmiechowa jest naprawdę kolorowe, zwłaszcza latem, a wszystko za sprawą lotni i parolotni. Pomiedzy nimi zaś, ledwie widoczny w pełnym słońcu – szybowiec krąży po niebie niczym król przestworzy. A wszystko to dzieje się w absolutnej ciszy. Niewielki plachetek rozplaszczony grani, pochyle pole wlotów i gromadka entuzjastów, których łączy pasja do perfekcji tu rozwijana. Jedna pasja – dla wszystkich tu zrozumiała – latanie. To jest tutejsza rzeczywistość. Tutaj marzenia stają się

faktem. Nic nie może się równać z wrażeniami towarzyszącymi wznoszeniu się w przestworza, wtedy przed naszymi oczami stają prawdziwe cuda. Lagodne stoki Gór Słonnych pokazują całą swoją krasę, wysepki bieszczadzskich szczytów kopiają się pod idealnie prostą taflą mgieł, rozległe polacie na wód naturalnych łak rozposcierają się w dolinach i te bezludzkie ciągnące się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Długo trzeba by szukać podobnych miejsc w tej części Europy. Wznosząc się wyżej, ujrzyć można nasze piękne skapane w promieniach słońca Tatrami. Dalsze partie to słowacki Vihorlat, ukraińskie Gorgany, rumuńska Czarnohora. Najczęściej jednak przed oczami staje ta najbliższa panorama Bieszczadów, która swa postrzępiona krawędź próbuje linie horyzontu zastąpić. A w dole błyszcząca tafla Solińskiego jeziora, w którym jak w lustrze odbijają się pełzające gór obłoki.

Trzeba przyznać, że tu są najpiękniejsze wody. Mogą zmęczyć góry, mogą znudzić las. Można nad nią siedzieć godzinami, dniami w tym samym miejscu. Co dzień, co chwila jest inna, jej dzwonne, srebrzyste piękno jest zawsze nowe i wiecznie żywe. Mieni się tysiącem subtelnymi barwami o wschodzie, w południe, o zachodzie. Cisza tu panująca jest tak przestrzenna, która pozwala rozwinąć skrzydła. Tu nad wodą można odpocząć od ogłuszającego hałasu tak często towarzyszącego nam we współczesnym świecie. Wchodząc do wody, wychodzimy jakby z powietrza. Tutaj tak na prawdę widac jak bardzo bliska jest żegluga podniebna tej całkiem przyziemnej, wodnej przygodzie. Latanie to prawdziwa radość unoszenia się nad ziemią, ale także powrotu na ziemię. Smak latania między tymi dwoma radościami się zawiera. W Bezmiechowej historia zatoczyła koło, tutaj czas się nie zatrzymał, ale cofnął. Tak jak przed wojną, tak i teraz zaczyna się od pustej łaki na szczycie Słonno. Obok zamiast drewnianej, niepozornej zabudowy, na szczycie góruje piękny, nowoczesny ośrodek szkoleniowy, w którym znowu, jak przed laty, mogą stawiać swoje pierwsze kroki studenci z Rzeszowa i Warszawy. A przecież to oni już od wielu, wielu lat spoglądają na lotnisko z najwyższego pulapu.

Temat Bezmiechowej jest wspaniały, tak jak wspaniała jest historia przedsięwzięcia, jak wspaniale jest przekuwanie Marzen w rzeczywistość, mirażu w dokonanie. Hymn tamtejszej szkoły podstawowej, której patronują szybowniczy zawiera znamienne słowa „na skrzydłach nocy, skrzydłach dnia, z Marzen chłopiec...” Po marzenia w górę pchają. Jak pokazuje historia z całkiem niezłym skutkiem. To stąd w powietrze zegluga wyruszył Tadeusz Góra, który za przelot szybowcem z Bezmiechowej do Solecznik Małych k/Wilna otrzymał pierwszy w historii medal Lilienthala. A wie szyje swym bytem. Cichym i skromnym. Od razu na myśl przychodzi obraz brueghela „Upadek Ikarusa”. Tutaj realizm pedzła analizuje swe odbicie. Tyle tylko, że Ikar nie spada, tyle że krąży nad Bezmiechowa apowaty cięższe od powietrza. Chociaż jak u brueghela nikt oczu w górę nie podnosi oni latają i wcale nie nisko i powoli. Czasem szkoda, że nie wszystkim nam dane jest zasmakowanie tej podniebnej inicjacji. Pozostają jedynie marzenia. Niekiedy wystarczy stanąć na szczycie Słonno, spojrzeć w niebo tak pięknie ubarwione przez latanie.

Iwona Urban

WARSZTATY
DZIENNIKARSKIE

MIESIĘCZNIK LO W LESKU

Redaktor naczelny:
Miłosz Lewandowski

Magdalena Uzdejczyk, Aleksandra Stelmach, Beata
Podsobinska, Ewelina Worona, Paulina Ogorzałek, Anna
Sterenczak, Justyna Kabala

Opiekun:
prof. Henryk Wyszatycki